



Reforma sądownictwa. Referendum?

Strukturalne problemy sądownictwa coraz bardziej przebijają się do świadomości społecznej. W Poznaniu sąd uchylił wyrok w sprawie potrójnego morderstwa, a w Giżycku nie uznał wyroku rozwodowego, tylko dlatego że w obydwu przypadkach w ich wydaniu brał udział „neosędzia”. Takie medialne przykłady, godzące w elementarne poczucie sprawiedliwości i bezpieczeństwo obrotu prawnego, być może skłonią do szerszej niż dotychczas refleksji nad koniecznością uporządkowania wymiaru sprawiedliwości (Trybunału Konstytucyjnego, Krajowej Rady Sądownictwa i statusu tzw. „neosędziów”). Kluczowy pozostaje sposób, w jaki można byłoby przeprowadzić rzeczoną reformę. Wydaje się, że zwykłe środki polityczne są niewystarczające. Główną trudnością jest nie tylko przyjęcie odpowiednich regulacji prawnych, lecz przede wszystkim zapewnienie im trwałości. Wymaga to konsensusu całej sceny politycznej, co w aktualnej sytuacji i dającej się przewidzieć przyszłości wydaje się trudne do osiągnięcia. Rozwiązaniem może być zatem – w punkcie wyjścia – zgoda, że paraliż trzeciej władzy faktycznie odbiera obywatelom prawo do sądu, a w warunkach wojny w Ukrainie i dynamicznej sytuacji geopolitycznej jest destrukcyjny dla państwa i osłabia jego możliwości obronne¹. Bez szukania „winnych”, licytacji, „kto bardziej naruszył Konstytucję”, oraz retoryki „przwracania praworządności” można przyjąć, iż sądownictwo potrzebuje kompleksowej reformy. Opracowanie stosownych projektów sanacyjnych (ustaw, a zapewne i Konstytucji) można byłoby powierzyć grupie ekspertów powołanych przez Sejm (5 osób), Senat (3 osoby), Prezydenta RP (1 osoba) i Radę Ministrów (1 osoba). Liczba osób nominowanych przez poszczególne organy może być oczywiście inna, lecz decydujący głos powinna mieć

władza ustawodawcza. W jej przypadku możliwe jest bowiem dokonanie wyboru większością kwalifikowaną (np. 3/5), przeprowadzenie wysłuchania kandydatów, a na wcześniejszym etapie ich zgłoszenie również przez podmioty spoza polityki, np. przez środowiska prawnicze (wydziały prawa, zgromadzenia ogólne sędziów, samorządy zawodowe). Wszystko to służyłoby ograniczeniu postrzegania kandydatów przez pryzmat afiliacji partyjnych. Ekspertiści powinni być apolityczni, posiadać uznany dorobek oraz cieszyć się nieposzlakowaną opinią, spełniając co najmniej kryteria wymagane od kandydatów na sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Wydaje się, że nie mogłoby wśród nich zabraknąć konstytucjonalistów, ekspertów od prawa międzynarodowego, sędziów i legislatorów. Powinni oni obradować z dala od kamer, a wynikiem ich pracy byłby pakiet konkretnych projektów przepisów. Zostałyby one następnie poddane ocenie wszystkich obywateli w drodze referendum ogólnokrajowego, co utorowałoby im ścieżkę w parlamencie oraz u głowy państwa. Proponowana metoda niewątpliwie wymaga doprecyzowania (w szczególności podstawa prawna funkcjonowania grupy ekspertów, tryb zarządzenia referendum oraz podmiot wnoszący projekty naprawcze do laski marszałkowskiej), lecz jest o tyle obiecująca, że pozwoli wyciszyć emocje, a punkt ciężkości przesunąć w stronę merytorycznego rozwiązania problemów (projekty nie miały barw partyjnych). Ponadto każde stronnictwo mogłoby argumentować, że jest to kompromis, będący wyrazem pragmatyzmu (bez konieczności retorycznego wycofywania się ze wcześniejszych działań). Co zaś najważniejsze, reformy mogłyby zyskać bezpośrednią legitymację społeczną, a tym samym odporność na bieżące uwarunkowania polityczne.

PIOTR POLAK

Instytut Nauk Prawnych PAN

¹ Względy bezpieczeństwa skłoniły całą scenę polityczną do zgodnego przyjęcia ustawy o obronie Ojczyzny w 2022 r. oraz ustawy o ochronie ludności i obronie cywilnej w 2024 r.

Szukając pomostów

PAUza podejmuje regularnie trudne geopolityczne zagadnienia. I tak Prof. Andrzej Białas, prawie cztery lata po agresji Rosji na Ukrainę, wznawia naszą narodową dyskusję o dwóch wrogach: prawdziwym niebezpieczeństwem są rodzimi „pseudo-patrioci” (zob. A. Białas, *We must all hang together*, PAUza 758).

Pan Minister Adam Rotfeld w całej serii tekstów (począwszy od zatytułowanego *Strategiczne koncepcje wspólnoty transatlantyckiej* w nr. 748) pisze, jak nieracjonalne jest oczekiwanie jakiejś jednolitości politycznej lub wojskowej Europy, ba! NATO. Ostatnie wydarzenia z Grenlandią jasno to potwierdzają. Niestety, Europa jest nadal obciążona historycznymi podziałami. I nie tylko na linii Wschód–Zachód.

Dolomity nad Cortina d'Ampezzo są pełne dziur po buncach i tunelach. Minęło tylko sto lat od konfliktu, który dla Włochów był bardziej krwawy niż II wojna światowa. Kiedy dziś bez zatrzymania przejeżdża się przez przełęcz w Brennero, nasuwa się pytanie: O co ta walka tak naprawdę się toczyła? A że była to jatka bezsensowna, najlepiej świadczy *Pożegnanie z bronią*.

Uniwersytet w Trydencie jest bardzo gościnny, zawsze pełen obcokrajowców. Przez rok dzieliłem biuro z kolegą z dużego wschodniego kraju. Jego siedmioletni syn w szkole, do której uczęszczał, otrzymał komplet podręczników, również do historii. Któregoś razu w niedzielne południe Jang – późniejszy dyrektor ośrodka badań jądrowych, zatrzymał mnie na środku skrzyżowania i pełen entuzjazmu wykrzyknął: „Wiesz! Zajrzałem do książek syna. I odkryłem niesamowite rzeczy! Kiedyś Włochy sięgały aż do Indii. A później zniknęły. Polska też! Kiedyś była wielka”. Rzeczywiście, z jego punktu widzenia, mieszkańca kraju otoczonego od tysiącleci nieprzesuwalnym murem i w którym narodowości poniżej 200 milionów są zaliczane do mniejszości, te wszystkie „plemiona” mówiące różnymi dialektami i bez przerwy przesuwające granice muszą budzić zdziwienie. Spojrzenie z zewnątrz zmienia perspektywę.

Europa politycznie nadal nie jest kontynentem. Na Grenlandię wysłano (nie piszę „wysłaliśmy”) kontyngent 40 żołnierzy, ot, aby się nie narazić na odwetowe cła. Nie sposób uzyskać konsensusu w sprawie sankcji na agresora: zdaje się, że ze 180 mld euro 165 mld jest zdeponowane w jednym z mniejszych, ale ważniejszych krajów UE. Który ze swojego indywidualnego punktu widzenia słusznie nie chce się narazić na internetowe zablokowanie lotnisk – na przykład. Ukraina woli więc utrzymać, ogromnym kosztem ofiar ludzkich, własną linię okopów i zasieków, niż przyjąć papierowe (zapewne) gwarancje bezpieczeństwa. Czyż więc Europie grozi marginalizacja?

I tu musimy wrócić do pytania, czym Europa jest. Bez wątplenia nie jest nieślubna córka Zeusa ani geograficzny obszar nieposiadający naturalnych obrzeży. Jak pisze św. Jan Paweł II, powinna to być jedność kulturowa. Przywołajmy orędzie z 20 czerwca 2002 roku, kiedy ważyły się słowa do Preambuli Traktatu UE, o zmiennym tytule *Wartości chrześcijańskie duchowym fundamentem Europy*. JP II pisał: „Wymaga tego pamięć historyczna, ale także przede wszystkim misja Europy, wezwanej również dzisiaj, [...] by przyczyniać się do budowania sprawiedliwego pokoju na własnym terytorium i na całym świecie, by łączyć różne tradycje kulturowe [...]” (*Dzieła zebrane*, tom V, WAM, Kraków 2007, str. 408).

W studenckich czasach Stowarzyszenia na rzecz ONZ – optymistycznej deklaracji z Helsinek, nauczyłem się od ówczesnego dr. Rotfelda politycznego pragmatyzmu: nie liczą się słowa, ale konkretne działania. Dość łatwo złożyć daleko idące obietnice, szczególnie państwom kawał drogi od nas leżącym. Dużo trudniej – i tu wracamy do tekstu Prof. Andrzeja Białasa – uzgodnić „warunki brzegowe” z krajami, z którymi dzielimy granice. Na przykład z Niemcami lub Ukrainą.

Drogą do dialogu z RFN był, bulwersujący w tamtym czasie (listopad 1965), list polskich biskupów do „niemieckich braci”. Dla większości opinii publicznej w Polsce, nie mówiąc o władzach państwowych, orędzie było kamieniem obrazy, ba! sposobem na oczernianie Kościoła. Ale ówczesny polski episkopat, z kardynałem Wyszyńskim i biskupem Wojtyłą na czele, znalazł właściwy moment (dwa tygodnie przed zamknięciem II Soboru Watykańskiego) i właściwe określenia dla rozpoczęcia procesu, który przez wydające się dziwne wówczas meandry polityczne i społeczne doprowadził do dzisiejszego dobrobytu. Czy jest jakiś pomysł na pomost w kierunku Ukrainy?

„Nasz” proboszcz w Cadine, wiosce w okolicy Trydentu, don Augustyn Babiak, urodzony w Przemyślu doktor teologii z Lyonu i kapłan dwóch obrządków – grecko i rzymskokatolickiego, wskazuje taki pomost – no, może na razie wąską jedynie kładkę: postać metropolity Lwowa, Andrzeja Szeptyckiego. W Wikipedii znajdziemy dwóch braci Szeptyckich: Stanisława (1867–1950), komendanta Legionów i ministra obrony, i tego drugiego, Andrzeja (1865–1944), o którym trudno mieć jednoznaczne zdanie.

Znane i nieznane kulisy kreowanej w dwudziestolecie polityki dwustronnej między Polską i Ukrainą, a także ówczesnego dialogu międzyreligijnego opisuje dr Augustyn Babiak w wydanej w 2023 roku w Neapolu książce *Per amore del suo popolo. La vita eroica del metropolita Andrea Szeptyckij (1865–1944) (Z miłości do swojego ludu. Bohaterskie życie metropolity Andrzeja Szeptyckiego...)*. Jak pisze don Agostino, konflikt z naszym sąsiadem to nie tylko niezwykle tragiczne, by nie było wątpliwości, wydarzenia z końca II wojny światowej. Na konferencji pokojowej w Paryżu 25 czerwca 1919 roku ustalono bowiem, że „Galicja Wschodnia miała zostać przydzielona Polsce na 25 lat, po czym ludność ukraińska zdecyduje w referendum o swoim losie” (str. 99). Nie ma więc sensu szukać „winnych” – byłoby to zbyt proste. Dużo trudniej projektować pomosty.

W odróżnieniu od Stanisława Andrzej zawsze był – posługując się językiem fizyka – w przeciwfazie. Miał zostać wyniesiony do godności kardynała dla Austro-Węgier, ale nastąpił sierpień 1914 roku... Później, jak to rzetelnie opisuje Wikipedia, jako niewątpliwy autorytet moralny i religijny został uwikłany we wszystkie możliwe przeciwności. A najsmutniejsze jest, że jego proces beatyfikacyjny, zainicjowany za pontyfikatu Piusa XII, był dwukrotnie przerywany. I to wskutek interwencji znad Wisły: „Nie jest to właściwy moment” – argumentowano. A szkoda, bo Szeptycki mógł być pomostem w bardzo trudnym i w przeszłości, i dziś, i obawiam się w przyszłości – dialogu między dwoma krajami, które dzieli tylko kilkanaście lat, jeśli chodzi o przyjęcie chrześcijaństwa.

Oczywiście, profesorowie fizyki nie są graczami rozstawiającymi pionki na globalnej szachownicy. Ale mogą pracować w wymiarze intelektualnym, w skali lokalnej i w sensie przyszościowym.

Czy metropolita lwowski Andrzej Szeptycki, zdjęty z urzędu przez Sowieców, a zmarły pod okupacją niemiecką – może łączyć, zamiast dzielić? Zakończmy, przywołując jeszcze raz słowa Jana Pawła II: „Jak moglibyśmy nie wspomnieć dalekowszostnej i gruntownej działalności pasterskiej Sługi Bożego, metropolity Andrzeja Szeptyckiego, którego proces beatyfikacyjny posuwa się do przodu i którego mamy nadzieję oglądać pewnego dnia w chwale świętych? Trzeba tu odnieść się do jego bohaterskiej działalności apostołowskiej, jeśli chcemy zrozumieć niewytłumaczalną po ludzku płodność Kościoła grekokatolickiego na Ukrainie w ciemnych latach prześladowań” (https://pl.wikipedia.org/wiki/Andrzej_Szeptycki).

À propos antropocenu...

Świat, który powstał bez udziału ludzkiej woli, w języku polskim nazywa się Naturą; pojęcie to, wywodzące się ze starogreckiego słowa φύσις (physis), oznaczającego to, co zrodzone, co rośnie, przetłumaczone zostało na język łaciński jako *natūra* i definiowało także narodziny lub to, co jest zrodzone. Podobne greckie słowo φυσικά (phuzika), choć brzmi jakby było rzeczownikiem, jest jednak przymiotnikiem i oznacza, że coś jest fizyczne, czyli naturalne. Z chwilą pojawienia się człowieka zaistniały też rzeczy nie-naturalne, nazywane sztucznymi. To polskie słowo „sztuczny” również ma korzenie greckie, jako że pochodzi od greckiego terminu (technē). Dzisiejsze słowa technika czy technologia mają tak samo źródłosłów grecki. Już w 1778 roku Comte de Buffon pisał, że na całej powierzchni Ziemi jest właśnie widoczny ślad działalności ludzkiej. Dzisiaj tego, co sztuczne, jest więcej niż wszystkiego żywego łącznie. Na przykład waga wszystkich zwierząt na Ziemi według suchej masy wynosi obecnie 4 Gt, natomiast plastiku jest dokładnie dwa razy więcej, waga drzew i krzaków według suchej masy opiewa na 900 Gt, zaś budynków i infrastruktury – na 1 100 Gt. To wszystko skłoniło wielu ludzi do wprowadzenia nowego rozdziału w historii samej Ziemi, rozdziału, w którym człowiek współuczestniczy w tworzeniu tej historii. Dwa problemy trzeba by było od razu rozwiązać: określić zarówno nazwę tego rozdziału, jak i datę jego „narodzin”. Z nazwą nowego etapu nie było większego problemu, bo jeśli ma on stanowić nową erę geologiczną, to właściwą nazwą będzie antropozoik, zaś jeśli ma to być nowa epoka geologiczna, to za właściwe określenie należałoby uznać antropocen. Trudniejszy jest problem z ustaleniem początku nowego okresu. Niektórzy uważają, że w momencie pojawienia się *Homo sapiens* rozpoczyna się nowy rozdział w historii Ziemi. Inni, głównie geolodzy, chcą początek ustalać według trwałych śladów w zmianie systemu ziemskiego. Bez wchodzenia w szczegóły zauważmy jedynie, że rozważane są dwie możliwości. W pierwszej przyjmuje się rok 1950 za początek antropocenu, w drugiej zaś rok 1610. W pierwszym przypadku trwałym śladem aktywności ludzkiej mają być opady radioaktywne w wyniku testowania broni atomowej. W drugim zaobserwowany spadek stężenia CO₂ do poziomu około 7–17 ppm, co spowodowało tak zwaną Małą Epokę Lodową.

Określenia antropozoik po raz pierwszy użył prawdopodobnie walijski geolog i teolog Thomas Jenkyn w roku 1854. Nieco później irlandzki geolog i ksiądz Samuel Haughton (1865) posłużył się tym samym terminem, aby nazwać epokę (sic), która rozpoczęła się wraz ze stworzeniem człowieka. W obu przypadkach wprowadzone terminy są neutralne emocjonalnie, nie mają w sobie żadnego ładunku wartościującego działania ludzi. W 1864 roku George Perkins Marsh wydał książkę *Człowiek i natura*, w której powołując się na Pismo Święte, zaznaczał: „Człowiek zapomniał, że ziemia została mu dana tylko na użytek, nie do konsumpcji, a tym bardziej na rozrzutne marnotrawstwo”. Włoski ksiądz i geolog Antonio Stoppani, pozostając pod wyraźnym wpływem pracy Marsha, w 1871 roku pisał, że pojawienie się człowieka na Ziemi stanowiło wprowadzenie nowego pierwiastka do Natury, a mianowicie nowej siły tellurycznej, która dzięki swojej mocy i uniwersalności nie jest mniejsza od wszystkich wielkich sił globu. Publikowane były i inne prace, w których zawsze podkreślano wpływ człowieka na Naturę. Prace te nie wywoływały jednak większego zainteresowania. Dopiero po 130 latach, pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, amerykański uczone Eugene F. Stoermer

zaczął ponownie używać słowa antropocen na określenie epoki po holocenie. W 2000 roku opublikował on wspólnie z holenderskim uczonym Paulem J. Crutzenem artykuł, w którym obaj wyrazili przekonanie, że epoka holocenu, trwająca od około 11,7 tysiąca lat, już się definitywnie zakończyła. W 2009 roku został powołany specjalny zespół o nazwie Grupa Robocza ds. Antropocenu przy Międzynarodowej Komisji Stratygraficznej, zadaniem której było wykazanie zarówno słuszności nowej nazwy dla nowej epoki, jak też podanie dokładnej daty jej początku. Geolodzy, chyba jedynie poza Janem Zalasiewiczem, od początku byli bardzo krytyczni wobec tego pomysłu, bo stratygrafowie wyznaczają granice nowej epoki czy nowego okresu na podstawie skamieniałości wymarłych zwierząt. Możliwym materiałem są też ślady dawniejszego życia zwierząt, także zastygłe w skałach. Takich skał na razie nie ma, bo pierwszym śladem mającym stanowić podstawę do zdefiniowania nowego okresu geologicznego mają być opady radioaktywne, drugim kości brojlerów, a trzecim plastik. Do skamielin im daleko. W marcu 2024 roku Międzynarodowa Komisja Stratygraficzna (ICS) definitywnie odrzuciła możliwość formalnego wprowadzenia antropocenu jako nazwy nowej epoki. Wszakże tak jak dzieło Victora Frankensteina, tak i słowo antropocen, raz powołane do istnienia, zaczyna żyć swoim życiem. Obecnie funkcjonuje nawet około pięćdziesięciu alternatywnych określeń nowej epoki, jednak rekordy bije słowo antropocen. Nie było chyba dotychczas w historii ludzkości takiej sytuacji, żeby jedno słowo spowodowało tak niesamowity ferment w całym środowisku intelektualnym, podzielonym przez nie na dwa skrajnie odległe od siebie obozy. W największym skrócie i najbardziej wyraziście, te dwa krańcowo odmienne obozy różnią się interpretacją słowa antropocen. Dla jednych jest to synonim wyrażenia ekobójstwo, dla drugich – to prawie antropodycea. Niektórzy żywią przekonanie, że samo słowo jest niebezpieczne. Powołując się na filozofa Edmunda Burke’a, który uważał, że słowa mogą zakorzenić się w umyśle i oddziaływać na emocje, wskutek czego nie pozostają bez wpływu na kształtowanie poglądów, amerykańska uczona Eileen Crist utrzymuje, że takim słowem jest właśnie antropocen. Zatem jest to powód, aby to słowo zablokować przed posługiwaniem się nim. Dyskurs z użyciem powyższego terminu zamienia bowiem mroczny idiom ekologii, grabieży, eksploatacji, niszczenia na „słodkie” i oswojone słownictwo: nie niszczymy, lecz zamieniamy, ulepszamy, tworzymy nowe ekosystemy itp. Wybitny amerykański poeta i aktywista środowiskowy Gary Snyder stoi na stanowisku, że Natura żyje, jest to więc proces, który dzieje się o poza ludzką wolą, wcale od niej nie zależy. Nauka bez względu na to, jak daleko sięgnie, nigdy nie dotrze do sedna sprawy, ponieważ umysł, wyobraźnia, trawienie, oddychanie, marzenia, miłość, zarówno narodziny, jak i śmierć są częścią Natury. „Antropocenu nigdy nie będzie”. Na drugim biegunie pojmowania antropocenu można przykładowo wskazać Priorytetowy Obszar Badawczy o nazwie „ANTHROPOCENE”, czyli w poszukiwaniu zrównoważonego rozwoju”, w strategii którego czytamy, że antropocen to bardzo rozległy termin, najczęściej rozumiany jako „epoka człowieka”, w której antroposfera, obok biosfery i geosfery, stała się jedną z głównych składowych systemu ziemskiego (Earth System). Człowiek posiadał w antropocenie zdolności przypisywane dotąd procesom naturalnym, kształtującym system ziemski.

WALENTY OSTASIEWICZ

Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu
(emeritus)

Uwag malkontenta ciąg dalszy

W tych dniach przeżyłem dziwne doświadczenie. Po dokonaniu korekty wspomnienia o zmarłym japońskim profesorze dostałem informację od wydawcy, że publikacja ma kosztować 3100 euro. Na szczęście szybko się wyjaśniło, że nie muszę płacić, a te 3100 to w przypadku, gdybym sobie życzył, by tekst był publikowany w formule Open Access. Zatem nie było problemu, ale trochę mnie przy tej sposobności natchnęło, by się wypowiedzieć na temat obecnych zasad publikowania prac naukowych. Znam je, ale system mi się nie podoba. Od razu wspomnę, że nie odczuwam żalu. Jako emerytowany profesor nie podlegam już surowym rygorom publikowania w 'dobrych czasopiśmie'. Ale mi się zasady nie podobają. Moim zdaniem wygląda wręcz na to, że naukowcy stali się autorami 'pańszczyźnianymi'. Muszą publikować w czasopiśmie o dużym IF, a te mają swoje wymagania! Trzeba się przebić przez komputerowy system przedstawiania prac do druku, wskazać recenzentów i ponieść (czasami) koszty publikacji. W niektórych przypadkach określić swoją rasę i płeć (Elsevier), a coraz częściej sprecyzować wkład współautorów. Na tym wszystkim zarabiają wydawcy czy ktoś tam jeszcze, ale nie autorzy ani instytucje, w których są zatrudnieni i które, na ogół, poniosły koszty utworzenia publikacji. To wygląda na organizacyjny nonsens w skali międzynarodowej. Dziwny w XXI wieku, gdy instytuty i uczelnie są w stanie spokojnie publikować swoje prace na własnych stronach internetowych. Ale nie, bo nie ma tam ani IF, ani punktów ministerialnych. Jest to zatem bezpośredni wynik słynnej punktozy! Chyba doszliśmy do absurdu, prawda?

Pamiętam, że za pierwsze publikacje (w Kraju, ale w czasopiśmie o zasięgu międzynarodowym) otrzymałem z redakcji wynagrodzenie! Raczej symboliczne, niemniej reguła słuszna: honorarium dla autora. To było ponad 50 lat temu i bardzo szybko znikło, a nie zaistniało, gdy zacząłem publikować w czasopiśmie wydawanych poza granicami.

Do tego dodam trudności w dostępie do publikowanych prac naukowych. Formalnie to wygląda na sytuację uporządkowaną: albo Open Access i każdy może poczytać, albo trzeba zapłacić, albo uzyskać dostęp za pośrednictwem swojej instytucji – o ile jest ona członkiem właściwego międzynarodowego konsorcjum. Praktyka jednak jest uciążliwa, o czym przekonuję się, gdy staram się

o pozwolenie na wykorzystanie ilustracji ze SWOICH dawniejszych publikacji w później przygotowywanych pracach przeglądowych. Na szczęście są redakcje (wspomnę Acta Crystallographica czy Mendeleev Communications), które odpowiadają błyskawicznie i pozytywnie, ale są nierzadko sytuacje koszarne, gdy się nie można przebić przez te systemy (przykład: czasopisma Springer czy Elsevier). I to nie z powodu własnych nieumiejętności – niedawno prosiłem panią redaktor springerowskiego czasopisma, by mi pomogła przedrzeć się przez te tabele i rejestracje. Po paru tygodniach prób (!) zrezygnowaliśmy, podobno wskutek technicznego błędu w systemie. Wiem, jak obecny system powstawał i rozumiem intencje, jakie doprowadziły do tego, co mamy teraz. Ale uważam, że nie jest dobrze. Przecież po to publikujemy, by informacja o wynikach badań docierała jak najszerzej, prawda? A zamiast tego mamy sklepiki z publikacjami... Nie nasze własne, tylko jakieś inne, sprzedające nasze produkty pozyskane za darmo...

A teraz mam inną ciekawostkę. Wysłany do redakcji, na zaproszenie stamtąd, tekst zyskał sporo uwag krytycznych wzywających do korekty. Słusznych zresztą i jestem za nie wdzięczny. Ale za poprawę tekstu wzięłem się z paromiesięcznym opóźnieniem (z ważnych powodów) i wówczas redakcja powiadomiła mnie, że zaproszenie do bezpłatnej publikacji wygasa z końcem roku 2025. Nie ma problemu, mam już innego wydawcę, ale sprawa wydaje mi się dziwna.

Myślę, że czas nadszedł, by ktoś odważny wystąpił z nową inicjatywą: koniec honorowania tych IF i punktów ministerialnych! Publikujmy sami i poddajmy prace ocenie prawdziwej, nie formalnej. Czas przestawić te zasady z głowy na nogi. Pewnie to nierealne marzenie, zwłaszcza gdy za obecnym systemem stoją interesy ważnych instytucji finansowych. Mimo to czemu nie spróbować? Na przykład wprowadzając zasadę, że prace mogą być swobodnie publikowane (Open Access) na stronach instytucji zatrudniających głównych autorów? Czy to możliwe? Uważam, że tak. Czy się uda? Nie odpowiem, ale apeluję o przestudiowanie PAUzy pod tym kątem, szczególnie zamieszczonych w numerze 478 artykułów Profesorów Andrzeja Kajetana Wróblewskiego (*Tęsknota za normalnością*) i Andrzeja Białasa (*Groch o ścianę*). I BARDZO chciałbym, abyśmy wstąpili na ścieżkę ku normalności!

JANUSZ LIPKOWSKI

Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie
(emeritus)



WYDAWNICTWO PAU POLECA

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy;

Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny;

Witold Brzożowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.

Bezpłatna subskrypcja